

Śląsk może być pisany jako rana. Może być zobrazowany jako kres czy brak. I jest to ważna odsłona Śląska. Może stanowić katalog dziwów, ale też bywa relacją umiejscowioną pośród dat, artefaktów czy zwyczajów. Śląsk może być komiczny, tragikomiczny albo tragiczny, może też nie być w ogóle dramatyczny, aby nie wyrażać, by być neutralnym. Po przeczytaniu książki Aleksandra Nawareckiego „Lajerman” zastanawiałam się, co to za Śląsk.

Książka Aleksandra Nawareckiego to zbiór esejów, które wcześniej krążyły w różnych miejscach, były wygłaszane, we fragmentach publikowane i już żyły swoim naukowym życiem, ale teraz zostały zgromadzone w dwóch częściach: o rzeczach i o głosach tej ziemi. I dobrze się stało, że eseje zyskały siłę przez nagromadzenie. Co pomieściły? Są tu ryczki, koniecznie opowiedziane z dziadkiem i babcią w tle; są szolki precyzyjnie opowiedziane w antropologicznej dokumentacji; jest klopsztanga jako pretekst do opowieści o bliskich osobach i domu; jest wreszcie moczka, której kulinarny miszong odsłania na przepis na ducha śląskiego. Ale potrzebne są i autorowi większe przestrzenie hałdy – ta jest opowiedziana mistycznie, nie mam wątpliwości, że jestem na Śląsku Mistyków, w który Nawarecki wpisuje się fenomenologią resztek. Są miejsca znajome: kamienica, ulice, szkoła – do odnalezienia w przestrzeni Katowic czy Chorzowa.

Z artefaktów i przestrzeni nie sposób odejść nawet, kiedy rozprawia się o czasie, bo też czas i przestrzeń nie są rozdzielone. Zatem autor stawia pytania o tożsamość Ślązaków, jednocześnie pytając o wczoraj i o dziś, jednocześnie w Tybecie i na Śląsku. Dołącza tu i Mazowsze, które przez Warszawę każe czytać Śląsk inaczej, z oddali. Antropolodzy znali to bycie z bliska i z oddali, które nie daje całkowitego utożsamienia. Nawarecki to przepracowuje tekstowo i doświadczeniowo. Rozmontowuje ten obraz i Podole, mityczne Kresy ojca autora, które siłą rzeczy układają się w prostą konfrontację ze Śląskiem matki. Jest i przestrzeń literatur – Haupt, Eichendorff, Janosch, Kuczek i Kadłubek. Musi być muzyka katowickich przyjaciół, muzyczność Katowic i zdziwienie dźwiękami Śląska.

Są detale, jak rzeźba Kalidego, czego mikrolog nie mógł przegapić. To ważne, bo Śląsk w detalach pokazuje się w różnobarwnej formie. Śląsk nie jest polski, tak jak Śląsk nie jest czeski, austriacki czy niemiecki. Śląsk w detalach jest nie-spotykany, a co za tym idzie jest pełen niepokoju identyfikacji. I nagromadzona szczegółowość, wyliczenia, barwne opisy przypadków codziennych – tę nieobliczalność, jako siłę Śląska, dokumentują. Na szczególną uwagę zasługuje niechęć Śląska i Ślązaków do lajermana, przez którego przywołuje autor niechęć do katarzyniarstwa, rozmamiania i lenistwa. A wszystko to opowiedziane i udokumentowane w sąsiedztwie osób. Są sąsiedzi, koledzy, spokrewnieni i spowinowaceni.

Śląsk Nawareckiego to gmach doświadczeń osób, miejsc, ale i gmach retoryczny. Pokazuje Nawarecki meble, podłogi, przedmioty codzienne, porusza się wśród nich sprawnie. Wyjmuje skarby z ukrycia, oddala się, by kierować się ku innym. Przedmioty umieszcza w niesamowitych historiach, zyskują wtedy swój ciężar. Gdyby to zważyć jakościowo, co waży?

Najwięcej ważą ludzie. To Śląsk opowiedziany jako natłok ludzi, nieżyjących już



Summa radosna

krewnych, rozproszonych po świecie przyjaciół, obecnych towarzyszy miejsca, tłoczno tu od ciotek, babć, rodziców, nauczycieli, kolegów z podwórka, artystów. Śląsk to ścisk ludzi. Przepełniony Śląsk. Powiedziałbym, że to namysł, który jest pełen gwałtownych spojrzeń. Nawarecki patrzy gwałtownie, nagle, z suspensem. Jak Hitchcock opisuje ludzi z zaskoczeniem, efektownie i szczegółowo.

To śląska opowieść o tym, co ludzkie, pomiędzy ludźmi, przy ludziach, dla ludzi. Nawet hałda, nawet Bóg nie daje się inaczej pomyśleć. To Śląsk, który mógłby być napisany przez Żyda, bo docenia autor rolę spotkania, tajemnicę *face to face*, poczucie, że Bóg jest między ludźmi i że rozkwita to, co boskie w naszym spojrzeniu na przedmioty codziennego użytku. Zaufanie jest po stronie tego, co się wydarza pomiędzy. A zarazem Nawarecki po chrześcijańsku stawia na miłość, nadzieję i na jednostkę. Jak to łączy? Odpowiedź brzmi: w gwałcie afirmacji. Autor raduje się, zestawia, wylicza, wydobywa, miesza ponure i patetyczne, by Śląsk był żywy, mieszkający niskie i wysokie.

Pamiętam, że taki wybuch zwyczajności, skupienia, zdziwienia i cudów zawsze mnie uderzał przy czytaniu opowieści chasydzkich. W tej książce nie ma Chasydów, ale jest ta sama feeria i ta sama myśl, jakoś nie wprost może u Nawareckiego uobecniiona, ale dla mnie czytelna, że „jesteśmy tu, gdzie mam być” Chasydzi chcieli się koncentrować na szlakach w rodzinnym mieście, uznając, że to są nasze szlaki niebieskie. Nawarecki robi to praktyce. Píše „My som tukej” i próbuje to w esejach dookreślić. Mam wrażenie, że tworzy te szlaki rodzinnego miasta jako szlaki niebieskie. Interesują go szlaki między krewnymi, sąsiadami, kole-

gami, pisarzami. Ale też powtarza żydowskie pytanie „Gdzie jesteś?”, które Bóg kieruje do Adama, powtarza je jako chrześcijanin, ale powtarza po śląsku, jako pytanie do śląskiego Adama, Adama zbiorowego – „Kaj my to som?” Filozofia dialogu w końcu zdobyła ciało i kontekst!

To pozytywna siła, przekaz radości, nawet hałda i fenomenologia resztek tego nie unieważnia. Może to sztuka jak cieszyć się Śląskiem? Nawarecki mógłby pisać używając wszystkich osób liczby pojedynczej i mnogiej. Zwykle pisze „ja” i „my”, ale myślę, że mnogą ma duszę. Jest ucieleśnieniem również „ty”, „on”, „ona”, „ono”, „wy”, „oni”. Mnogość przysługuje mu z racji bycia na Śląsku, chociaż jest jedynakiem, ale myśli mnogo. Jeden, a w wielu. Myślę, że narrator to wcielenie wszystkich ludzi, ulic, ryczek, literatur, domostw. Aleksander Nawarecki to byt mnogi. Złożony z wszelkich głosów.

Może ten tekst to radosna summa wszystkich zwycięstw i porażek śląskich, typologii, gramatyk śląskich? Summa miała być możliwą na dany moment całością wiedzy, upostaciowaniem tego, co najdoskonalsze, więc może jest to summa radosna, która kataloguje charaktery, zawody, losy, artefakty? Jednym z takich porządkowań jest podział na to, co plebejskie i elitarne, które to przeciwstawienie autor bardzo lubi. Chociaż praktyki kulturowe pokazują, że Śląsk tyle jest plebejski, co i elitarny, a kresowość to nie świat elitarny, ale również jowialny i plebejski. Być może detal opisany w tej książce przemycą tę wiedzę, i to wbrew porządkowaniu. Jednak to summa i mnogość rzeczy jest siłą tego śląskiego obrazu i siłą patrzenia „na siebie”

Jeszcze inaczej. Ta książka pęka od mnogości Śląska. Jest jak precyzyjnie stworzona Moczka. Jest utkana z dziwnej materii, która poddaje się metamorfozie. Jednak ożywienie świata następuje dzięki sile samego Nawareckiego i jego doświadczeń. Nie wiem czy narrator tej książki jest jak bóstwo, czy może jest jak dziecko, które przechadza się, gwałtownie coś obserwuje, uczestniczy i już jest w czymś innym. Może i bóstwo, i dziecko – jako doskonała forma istnienia? Nie mam wątpliwości, że to klasa mistrzowska. Tak, to mistrzostwo. Ale samo mistrzostwo to jeszcze mało, bo trzeba i sztukmistrza, a może i uwodzącej szarlatanerii. To złączenie powinno kiedyś zostać użyte, by opisać śląskie utopce, diabły, podziemie na nowo.

Gdyby rzecz dotyczyła przestrzeni Wschodu, wiedziałabym kim jest autor. Zaczęłabym opowieść tak: na dworze władcy zjawiał się i był przedstawiany jako ten, który posiadał dar opowieści, który zna cuda wszelkie, a jego mowa jest tak czarodziejska, że jest godna cesarza. Jest taka książka Salmana Rushdiego o „Czarodziejce z Florencji”, której słowa były w stanie dotknąć tajemnicy. Aleksander Nawarecki mógłby być tak witany, jako czarodziej ze Śląska, panujący nad słowem. Mógłby być zaanonsowany tak: oto pojawił się autor miłujący rozmowę, wartki, sypiący żartami, anegdotami, przedstawiający ludzi z krwi i gości, i duchy, ale i dotykający istoty rzeczy.

Ale smutny jest los czarodzieja. Słuchaczy znajdzie zawsze. Rozmówców znajdzie wielu. Ale gdzie może szukać spowiednika? Kto uniesie taką mnogość. Nie mam wątpliwości, że spowiednikiem dla Aleksandra Nawareckiego może być tylko czasoprzestrzeń – Śląsk.

ALEKSANDRA KUNCE

Kaj my to som?

Rafał Cekiera



Aleksander Nawarecki, *Lajerman*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2010, 144 s.

Pytania zadaje ktoś zdeorientowany; ktoś, kto ma równocześnie odwagę odrzucić błahe wyjaśnienia, suflowane przez codzienną, bezrefleksyjną paplaninę. W pytaniach naprawdę ważnych bywa coś rozpaczliwego, lecz i dumnego zarazem. Znak zapytania przypomina nagi hak.

Kaj my to som? to tytuł jednego ze szkiców znajdujących się w zatytułowanym *Lajerman* zbiorze tekstów Aleksandra Nawareckiego. Pytanie to, drobiazgowo filologicznie przez autora rozebrane i w różnych wersjach z języka śląskiego na polski przetłumaczone, można traktować jako klucz do całej książki. Autor, profesor filologii polskiej i kierownik Zakładu Teorii Literatury na Uniwersytecie Śląskim, wychodząc od tematyki związanej ze Śląskiem, dotyka problematyki daleko szerszej. Poczucie utraty – rozumiane w sensie intymnym, osobistym, ale i społecznym, wynikającym z dynamicznych przemian kulturowych – połączone z olśnieniami, wynikającymi z odkrywanego poniewczasie bogactwa czasów młodości, przewijają się przez większość tekstów.

Na książkę składa się kilkanaście pisanych na przestrzeni lat 1996–2008 szkiców, zgrupowanych w dwóch częściach, uzupełnionych tekstem wprowadzającym (*Szczęść Boże*) i posłowiem. *Lajerman* zdedykowany został „Stefanowi”; jak się wolno domyślać – chodzi o Stefana Szymutkę. Ten współpracownik i przyjaciel Nawareckiego, przedwcześnie zmarły autor *Nagrobka ciotki Cili*, jako pierwszy wprowadził do mówienia

o Śląsku specyficzny język i metodę wykorzystującą do jego opisów teksty filozofów z Heideggerem na czele.

Wróćmy jednak do pytań. Z tym *Kaj my to som?* łączy się pewna anegdota, przytoczona przez autora. Otóż szukające przygód trzy studentki z Chorzowa wybrały się w roku 1979 w daleką podróż – trafiając między innymi do Katmandu. Tam właśnie spędzały jeden z krystalicznie pięknych wieczorów, wśród zapachu opium i w dymie kadzidełek, zasluchane w rytm bębnów i dźwięk piszczalek. W tej odrealnionej przestrzeni nagle rozległo się głośnie, wyraźnie wykrzywane wołanie: *Kaj my to som?* Jak się później okazało, nieco dalej wieczór spędzali członkowie Klubu Wysokogórskiego z Gliwic, którzy przymierzali się do zdobycia Lhotse. Wykrzywane przez jednego z nich pytanie – tyleż ekstatyczne, co będące przejawem jakiejś ontologicznej dezorientacji – spotkało się z przytomną, szybką odpowiedzią ze strony studentek: *My som tukej!* Łatwo się domyślić, że po usłyszeniu takiej odpowiedzi w takim miejscu himalaiści zamilkli, pewnie w przekonaniu o nazbyt intensywnie przeprowadzonej tego wieczoru integracji.

Kaj my to som? to pytanie, które stanowić może pojemną metaforę śląskiego losu. Kluczowy dla tego pytania zaimek „to” pełni odmienną funkcję i zwraca uwagę na inne obszary niż nazwany tymi dwoma słowami tytułowy wiersz jednego z ostatnich tomików Czesława Miłosza. Śląskie „to” nie jest przejawem niemocy języka, bezradnego wobec brutalnej, bolesnej prawdy o ludzkiej egzystencji. Przeciwnie, owo „to” zastępuje niewyraźne zdziwienie, zachwyt, który dostępny jest w tych momentach, kiedy się na codzienność patrzy z pewnego dystansu. Podobnie jak w opisanym przypadku himalajskich podróżników – warunkiem mocno sprzyjającym takiemu spojrzeniu jest wyjście poza obręb wspólnoty. *Nota bene:* jak pisze autor, przymierzał się do tej książki bardzo

długo. Powstała ostatecznie dopiero wtedy, kiedy przeniósł się ze Śląska do Warszawy...

Pytanie *Kaj my to som?* świadczyć może o solidnym poczuciu ontologicznego bezpieczeństwa. Zadający takie pytanie zdradza się ze swoją pokorą i ufnością wobec Rzeczywistości. Takich pytań nie zadaje nikt przesiąknięty niewiarą w realność czy patrzący na świat niczym na fantazmatyczną feerię niepowiązanych ze sobą epizodów. Pytanie *Kaj my to som?* jest arcyśląskie również z tej przyczyny, że w tym regionie Polski jeszcze bardziej niż gdzie indziej Rzeczywistość nie pozwalała o sobie zapomnieć. Historia Śląska i Ślązaków to historia nieustannej falsyfikacji – tak w wymiarze grupowym, jak jednostkowym. W tej przestrzeni nie można było bezkarnie snuć wizji oderwanych od pracy, ziemi i nieusuwalnej świadomości kruchości. Pewna powściągliwość zawsze była uważana tu za cnotę – stąd być może na Śląsku lekceważący stosunek do nadmiernego strzępiania języka, kreowania wizerunku i innych marketingowych sztuczek. Nawarecki opisuje to zjawisko cytatem ze śląskiego *Pana Tadeusza*, czyli *Cholonka* Janoscha – „Niektórzy to tyle gadają, a wszystko to gówno”.

Na Śląsku zawsze liczył się konkret i konkretne, wydarte śmierci i niszczycielskim siłom Historii istnienie. Jak zauważa autor *Lajermana*, „w tym momencie widać, jak wiele znaczy ów lakoniczny przerywnik, zaczepna jak ostroga partykuła *to*. To dzięki niemu dyskretna proklamacja istnienia nabiera stanowczości: *My to som*. Więc jednak jesteśmy. Trwamy”. Rozlegające się w Himalajach zawołanie *Kaj my to som?* jest metaforą śląskiego losu, ale też można je potraktować szerzej – jako przyczynek do portretu współczesności, dynamicznie się zmieniającej, przekształcającej krajobraz, kulturę i międzyludzkie relacje. Człowiek współczesny zmuszony jest do nieustannej autorewizji, do ciągłej refleksji nad swoim życiem i nad coraz bardziej niezwykłymi,

gwałtownie się zmieniającymi warunkami, w jakich ono przebiega.

No więc raz jeszcze: *Kaj my to som?* W wymiarze szerszym, zbiorowym, Śląsk (na czele ze swoją stolicą – Katowicami) staje się obecnie niezwykle refleksjogenną aglomeracją. Stara śląska kultura zderza się w procesie przemian z nowymi zjawiskami. To moment historycznie niezwykle ciekawy; spotkanie odległych od siebie przestrzeni czasowych jest tu możliwe do zaobserwowania na niemalże każdej ulicy. Wystarczy zwrócić uwagę na nazwy sklepów, ich witryny czy sposoby ekspozycji sklepowych wystaw. Śląski folklor, siermiężny PRL i sieciówki globalnych korporacji – wszystko razem wymieszane, odbijające się nawzajem w mniej lub bardziej eleganckich witrynach. To musi inspirować.

Obszar Śląska to obszar wielkiej zmiany. Pasjonujące są konfrontacje między tym, co już wprowadzone w ruch, co chce się malować, pudrować, stawiać europejskie, kolorowe i – co jest nieodłącznie drugą stroną tego medalu – plastikowe, zuniforimizowane i nieodróżnialne, a pewną pojawiającą się już tu i ówdzie tęsknotą za tym „szarym, ale oryginalnym Śląskiem”. Szczególnie to napięcie widoczne było w sporach dotyczących decyzji o wyburzeniu dworca PKP w Katowicach. Przeklinane dworcowe *inferno* stało się nagle dla wielu dziełem sztuki, zabytkiem, który postanowiono zburzyć z woli finansjery, czyli współczesnych barbarzyńców. Wszyscy na czas jakiś stali się ekspertami od historii architektury, tocząc burzliwe, gorące dyskusje. Mogą one stanowić dobry przykład szerszego procesu mieszania się wizji i tożsamościowych redefinicji tego obszaru. Prof. Nawarecki kończy jeden ze swoich szkiców cytatem z *Klecha pszczyńskich*, zebranych przez śląskich pasjonatów:

Jo niy wiym, do czego by się teraz to miejsce nadawało? To pytanie wciąż wisi nad śląską przestrzenią społeczno-kulturową, szukającą swojej osobnej, uwzględniającej lokalny kontekst, specyfiki rozwoju.

Być może, aby dostrzec perwersyjne, ukryte śląskie piękno potrzeba wyobraźni na miarę Franciszka Starowieyskiego, który – co przywołuje autor *Lajermana* – twierdził, że hałdy to „najpiękniejsze polskie góry”. Nawarecki nie upiększa i nie mitologizuje śląskiej przestrzeni – sam jest wręcz zdziwiony otwierającą się możliwością arkiadyjskiego spojrzenia na to miejsce. Píše: „Wiele czasu minęło, zanim zdałem sobie sprawę, że ów rodzinny zakątek Śląska z powodzeniem mógłbym zinterpretować jako osobistą Arkadię”. Tak jakby sam był niegdyś przesiąknięty odczuwaniem śląskości jako czegoś gorszego, naznaczonego, wstydliwego. Wracając jednak do – z natury rzeczy mitycznego – czasu dzieciństwa, stopniowo odkrywa, że ta śląska odmienność, powitalne „Szczęść Boże”, które „zawstydzało, bo dewocyjne, staroświeckie i śląskie”, mają swój unikatowy, niepowtarzalny urok; że „przetrawiona śląskość” może być wartością dodaną, pewnym bonusem, niespodziewaną rekompensatą.

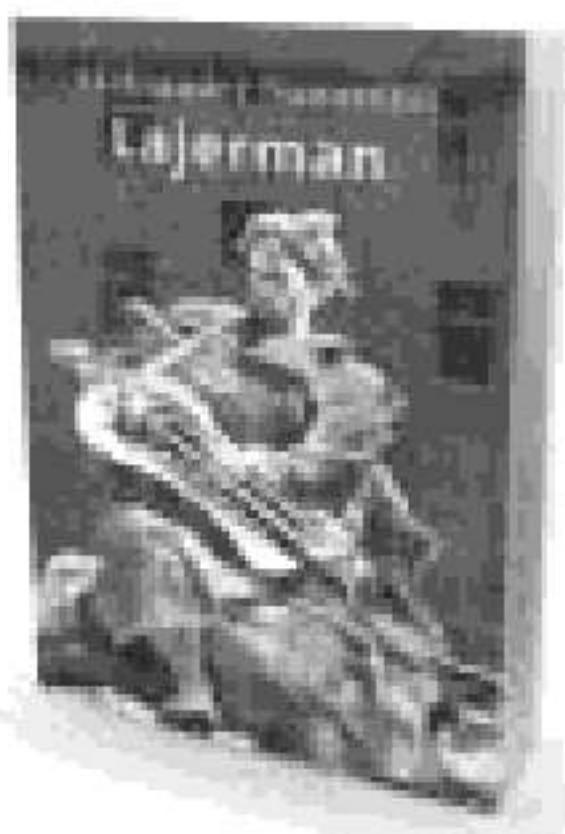
Na przedostatniej stronie książki Aleksander Nawarecki pisze: „Teraz myślę o tym czule, a piętno staje się ozdobą...”. Jego *Lajerman* jest nie tylko ciekawą, niebanalną opowieścią o Śląsku; jest też – a może przede wszystkim – pełnym czułości traktatem o cudowności egzystencji, doświadczonej kiedyś przez każdego z nas. Cudowności, która – jeśli tylko zachowamy zdolność dziwienia się światu – może wciąż być żywa, nie tylko poprzez aktualizującą pracę pamięci.

Rafał Cekiera

Rafał Cekiera – ur. 1979. Socjolog, doktorant na Uniwersytecie Śląskim. Publikował m.in. w „Tygodniku Powszechnym”, „W drodze”, „Czasie Kultury”, „Toposie” czy „Pograniczach”.

KSIAŻKA NA WEEKEND

MASZKIECENIE PO HASIOKACH



• Wystarczy dolać odrobinę śląskości do krwi z Podola i człowiek traci rasową czystość. Ale za to zyskuje dystans. Bezcenne

Lajerman

Aleksander Nawarecki

słowo/obrazterytoria, Gdańsk

●● Niezwykła eseistyczna książka o uwodzicielskiej sile osobności. O tym, jak żyje się pomiędzy Górnym Śląskiem i Polską, między kulturą śląską i polską, historią Polski i historią Śląska.

Lajerman to po śląsku kataryniarz. Ten Aleksandra Nawareckiego chodzi po polskich podwórkach i drażni muzyką swojej lajery.

Oto przodkowie narratora - profesora literatury polskiej, autora pod-

ręczników do nauki polskiego romantyzmu. Z jednej strony babcia Tekla, arystokratka z Podola, mama ojca, z drugiej - dziadek Stanisław, śląski plebejusz, ojciec matki. Wielka kresowa kultura, polska literatura i wysokie obcasy spotykają się z twardym akcentem, mocnym uściskiem, chórem i gołębiami. Dwoje ludzi, dwie rodziny, dwa światy.

Spotkanie tych dwojga jest jak pojedynk. Kto wygra w pamięci wnuka:

babka w rękawiczkach pozdrawiająca sąsiadów lekko wyniosłym: „Pochwalony Jezus Chrystus” czy dziadek ze swoim twardym: „Szczęść Boże”? Za zwycięstwem babki przemawia prawie wszystko: siła polskiej historii, urok narodowej mocy, wdzięk romantyzmu. Wydawałoby się, że dziadek ze swoją „grubą” (kopalnią), gołębiami i pragmatyzmem od początku jest na straconej pozycji.

A jednak wystarczy szczypta, żeby zmienić smak potrawy. Tak samo wystarczy dolać odrobinę śląskości do krwi z Podola i człowiek traci jednoznaczność. Taki pech. Jeszcze się nie urodził, a już bezpowrotnie umknęła mu szansa na spokojną egzystencję w skórze etnicznie czystego Polaka. Ledwo został poczęty, a już musi porzucić marzenia o wygodnym życiu w narodowej wspólnoty. W cieniu bohaterskich pomników, przegranych powstań, marzeń o powrocie na kresy, heroizmie i szabelkach.

Śląski odmieniec jest wyćwiczony do osobności w najwcześniejszym dzieciństwie: przez babcię i ciotki, ich kuchnię, architekturę śląskich miasteczek, przyrodę, język domu ciotek od strony matki i język podwór-

ka. Język, jak to określa profesor, zmarszony.

„Kto z polonistów wie, co to klopsztanga, hasiok i gulik? - pyta Nawarecki, profesor Uniwersytetu Śląskiego, ale od lat mieszkający w Warszawie. - Dla bajtla chowanego na placu klopsztanga jest osią świata. Krzyżem, szubienicą, przedmiotem medytacji, piłkarską bramką, przyrządem gimnastycznym. Nielatwo na nią wyłyść (ja czasem pomagałem sobie ryczką), jeszcze trudniej na niej się sztreknąć, za to łatwo slecieć i dziłstnąć. Kto spędził dzieciństwo w cieniu klopsztangi, ten niechybnie zostawił pod nią część siebie, dźwiga ją na swych ramionach do końca życia”.

Ta książka jest tak intymna, jak intymny jest Śląsk. Zepchnięty w czeluście wspomnień, w dzieciństwo. O tym się nie opowiada, choć to się pamięta.

No bo jak tu opowiedzieć podczas obiadu na Krakowskim Przedmieściu o sztrykowaniu, kulaniu nudli, o blazach na rękach i bolokach?

Ile razy ja sama oddychałam z ulgą, słysząc komplement, który Nawarecki określa mianem dwuznacznego: - Nigdy bym nie pomyślał, że pani jest Ślązaczka.

Eseje układają się w opowieść o górnośląskiej kulturze zbudowaną z wykwinutego, literackiego polskiego i śląskiego „godki”, dźwięczą muzyką, uwodzą obrazami. Tak zwane niskie sąsiaduje z tak zwanym wysokim. Liryka z epiką. Czuła zaduma z racjonalnym dystansem.

Tylko w takim gwarze odmieniec może oddychać wolnością. Nieprzewiązany do jednorodnego stylu, równej mowy, jedynie obowiązującej wizji świata, kultury i narodu.

„Szukam »formy bardziej pojemnej«, spragniony jestem jakiejś »formy śląskiej«, w duchu której trwa nieustanna obróbka resztek, podobna do skrzętnego wykorzystywania apfali - odgrzewania bratkartofli, rychtowania wodzionki, zalewania piernika na moczke, a czasem nawet, w smutnych przypadkach nędzy - maszkienienia po hasiokach. Bo i tam można znaleźć skarby” - pisze Nawarecki.

„Lajerman” to kolejny po książkach Stefana Szymutki, Małgorzaty Szejnert, Kazimierza Kutza, Henryka Wańka czy Zbigniewa Kadłubka dowód na to, że na południowym zachodzie Polski tętni niezwykła kultura. Coraz lepiej słyszalna. ●

ALEKSANDRA KLICH

Po raz pierwszy w życiu kilkanaście słów o Śląsku napisałem w kwietniu 1995 roku, w wieku lat czterdziestu – wyznał w od-autorskim posłowiu Aleksander Nawarecki. W tym samym czasie pierwsze słowa o Śląsku skreślił, będący mniej więcej w tym samym wieku, Stefan Szymutko („Lajerman” jest dedykowany jego pamięci i pojawił się niemal równo w drugą rocznicę śmierci autora fenomenalnego „Nagrobka ciotki Cili”). Skąd u obu literaturoznawców z Uniwersytetu Śląskiego, którzy wcześniej nie zajmowali się problematyką regionalną, wzięła się gwałtowna potrzeba pisania o osobistym doświadczeniu śląskości?

Gdy piętno stało się ozdobą...

W przywołanym tu posłowiu Nawarecki twierdzi, że impulsy były dwa. Po pierwsze, był to „zwrot wstecz, jaki w smudze cienia często przydarza się czterdziestolatkom”, po drugie pojawiła się „możliwość transgresji”; chodziło o „zerwanie z konwencją literaturoznawczego żargonu i wyjście poza obszar historii literatury”. Pierwsza, jakże ludzka przesłanka nie wymaga komentarza, wszak wiadomo, że trzeba się odpowiednio zestarzeć, by móc się skomunikować z „genialną epoką” oraz zainicjować kult przodków (tylko dojrzały mężczyzna może wyznać, jak czyni to Nawarecki, iż babcia była i pozostanie „kobietą jego życia”). Druga przypomina o wielkiej zmianie, jaka dokonała się kilkanaście lat temu w murach akademii (najstarsze eseje wchodzące w skład „Lajermana” pierwotnie zostały wygłoszone na śląskoznawczych konferencjach naukowych). Dziś trudno w to uwierzyć, ale około roku 1995 uczeni średniego wówczas pokolenia – tacy jak Nawarecki i Szymutko – autentycznie upajali się tym, iż mogli wreszcie osadzić dyskursy współczesnej humanistyki w konkretnie autobiograficznym, sprawdzić, jaka jest rzeczywista wartość i użyteczność przeróżnych mądrości (języków, narzędzi, konceptów etc.). Heidegger, Bachtin czy Bachelard, zakłęci dotąd w przypisach, cudownie ożyli.

Istnieje jeszcze trzecia sprawa, o której Nawarecki w zasadzie nie wspomina. Otóż w tamtym czasie narodziła się hanyska дума, a już na pewno doszło do zerwania z kompleksem śląskim. Do pewnego momentu śląskość była bowiem utożsamiana niemal wyłącznie z plebejskością, a ta z kolei z kulturalnym upośledzeniem. Dotyczyło to zwłaszcza mowy, w której każde odstępstwo od literackiej polszczyzny mogło zostać rozpoznane jako skaza. I nagle, choć przecież nie z dnia na dzień, „piętno stało się ozdobą”, bez mała skarbem, „echem prądawnej mowy”.

Zacząłem od „rysu historycznego” bynajmniej nie dlatego, iżbym uważał, że porywające eseje Nawareckiego należą do archiwum – jeśli wolno tak powiedzieć – nowoczesnej silejologii (ta zawiązała się właśnie w drugiej połowie lat 90.). To raczej sam autor, manifestując przy okazji fałszywą skromność, unieszcza swoje pisma w kontekście historycznym. Powiada, że teksty zgromadzone w „Lajermanie”, napisane w latach 1996–2008, wzięły się z chwilowego porywu serca i umysłu; zauważa także, iż „Śląsk powinien być teraz głębiej uwewnętrzniony, a ton pisania o nim spokojniejszy”. Nawarecki niesłusznie lekceważy swoje dzieło. Jego teksty nie tylko się nie zestarzały, ale i mogą być dziś objawieniem dla tych czytelników, którzy wcześniej nie zetknęli się z silejologiczną eseistyką wyrosłą na autobiograficznym fundamencie.

Fenomenologia śląskiego ducha

O czym nam w „Lajermanie” opowiada? Najogólniej rzecz ujmując, o śląskiej codzienności, dzieciństwie spędzonym w śródmieściu Katowic, o przedmiotach (ryczka, szolka) i potra-



ŚLĄZAKA PORTRET WŁASNY KULTURA 39

TYGODNIK POWSZECHNY 13 | 27 MARCA 2011

Zdjęcie z eseju fotograficznego Aleksandra Prugara „Piosenka o hałdzie”. Śląsk, 2006 r.

Hołd hałdzie

W połowie lat 90. narodziła się hanyska дума.

W tym samym czasie Heidegger, Bachtin czy Bachelard, zakłęci dotąd przez uczonych w przypisach, cudownie ożyli.

DARIUSZ NOWACKI

wach (mączka, wodzionka), z których da się wyprowadzić „fenomenologię śląskiego ducha”. Przedstawia też tych, którzy jego zdaniem wyrazili śląskie doświadczenie w taki sposób, iż chętnie by się pod ich wypowiedziami podpisał (tu głównie teksty składające się na rozdział „Głosy z tej ziemi”). Brzmi to niezbyt zachwycająco, gdyż odsyła do zgranych schematów czy to pisarstwa wspomnieniowo-nostalgicznego, czy to narracji etnograficznych. Tymczasem Nawarecki w ogóle nie korzysta z tych matryc, a jeśli nawet jakoś się o nie ociera, za każdym razem lojalnie uprzedza czytelnika: uwaga, będę przez chwilę szył arkadyjskim ściegiem lub do anegdot się odwołam.

Aleksander Nawarecki snuje śląskie opowieści po swojemu, jest eseistą osobnym. Jasne – o oryginalności mówi się poniekąd odruchowo, ilekroć komentowana książka nam się podoba, a „Lajerman” podoba mi się nad wyraz. No dobrze, tak właśnie się mówi... ale w czym ta unikatowość się wyraża?

Prawie zawsze Nawarecki wychodzi od – by tak rzec – zdziwienia słowem. W tekście otwierającym książkę słowem tym jest „klopsztanga”, czyli „trzepak” („dla bajtla chowanego na placu klopsztanga jest osią świata”), w tekście tytułowym idzie o tajemnicę „lajermaństwa” (tym słowem śląska babcia autora określała rozlazłość i niepraktyczność). Zdziwienie słowem lub całym zdaniem (osobna medytacja nad

śląskim idiomem „Kaj my to som?”) nieodmiennie prowadzi do spraw osobistych, wśród których najważniejszy wydaje się konflikt kultur i tożsamości. Nawarecki bowiem w wielu miejscach przedstawia się jako „śląsko-kresowy mieszaniec”. Nie tylko w tym rozumieniu, że przyszedł na świat w rodzinie przybyśza z Podola i jego śląskiej żony, a następnie na każdym kroku doświadczał podwójności obyczajów i rytuałów. Wsłuchiwał się – by dać przykład – w niekończącą się wewnątrzrodzinną debatę o nadrzędności lub podrzędności imienia względem urodzin (lub odwrotnie; dla Ślązaków liczą się te drugie, czyli gyburstak), zauważył, że jego ślasy przodkowie są przywiązani do miejscowego powitania „Szczęść Boże!”, a krewni ze strony ojca posługują się staropolskim „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”. Był to oczywiście Kulturkampf zupełnie niegroźny, miał charakter czysto anegdotyczny.

Powtórzę – nie tylko chodzi o rodowód, idzie o sprawę znacznie poważniejszą – o całkiem prywatny i chyba autentyczny zachwyt eseisty „kundlizmem”, wszelką formą hybrydyczną i zmaconą, a także o nadrzędną wizję Śląska jako „krajiny rozdwojonej”, lokującej się gdzieś między swojskością i obcością, pięknem i brzydotą, nowoczesnością i zacofaniem, by wskazać najważniejsze antynomie (tak naprawdę jest ich całe mnóstwo).

Odrębność stanowiska Nawareckiego zasadza się na tym, że jego hołd złożony hałdzie (gra słów wzięta z jednego z esejów) lokuje się na antypodach nie tylko narracji „nacionalistycznej”, ale i „małooczyźnianej”. Śląsk Nawareckiego nie jest żadną mitorodną krainą czy ziemią świętą, nawet pojęciu „genius loci” eseista w pełni nie dowierza, podejrzewając, iż mimo wszystko jest to kulturalny frazes; Ślązaków nijak w anioły nie przerabia, w ogóle zachowuje się niezwykle powściągliwie. Skąd to umiarkowanie?

Nie wzięło się chyba z tego, że jest pół-Ślązakiem. Wzięło się z przemyślenia pojęcia resztek, z przywiązania do tej metafory („resztki” to bez mała słowo klucz w „Lajermanie”). Eseista ujmuje i rozwija to pojęcie rozmaicie. Resztkami

są zarówno odgłosy podwórka i ulicy, słowa należące do „intymnej mowy dziadków”, zapamiętane i zarazem pokawałkowane pejzaże, przeróżne dotknięcia czy epifanie codzienności. Wspólną cechą tych okrucichów jest to, że pochodzą z najgłębszych pokładów osobistej pamięci (późne lata 50. i wczesne 60.), a także to, że Nawarecki nie jest ich do końca pewny. Wie, że wszedł – jak powiada – „na ścieżkę Platonińskiej anamnezy i Proustowskiej ewokacji przeszłości”, ale właśnie ta wiedza (świadomość chwytu i tradycji) pozwala mu zachować dystans. Resztkami – może nawet ważniejszymi – są tu również wszystkie te fenomeny, które – jak górnicza bądź hutnicza hałda – zachwycają wieloznacznością, kokietują tajemnicą. Czytamy: „Jeśli góry i pagórki, jak chce wyobraźnia religijna, są tęsknotą i zrywem ziemi ku niebu, to jak rozumieć hałdę, która bierze się z pragnienia skierowanego w przeciwną stronę, w głąb ziemi? (...) Jak rozrachować ekonomię wyrastających, ale też znikających resztek?”.



Ostatnią cząstkę posłowania Aleksander Nawarecki zatytułował „Forma bardziej śląska i jeszcze bardziej pojemna”. W tym nagłówku zawiera się oczywiście autorskie pragnienie. Czy ta ambicja pisarska została spełniona? Czy udało mu się ustanowić odrębny, idiomatyczny sposób pisania o śląskich sprawach? Moim zdaniem tak właśnie się stało. ◆

● ALEKSANDER NAWARECKI:
„LAJERMAN”, słowo/obraz terytoria,
Gdańsk 2011.

POD INNYM KĄTEM | JAN ZIELIŃSKI

Ryczka pod klopsztangą

Polonista Aleksander Nawarecki urodził się na Śląsku (1955), ale pochodzi z rodziny mieszaney, kresowo-śląskiej. Jego *Lajerman* jest próbą dogrzebywania się do korzeni słów i oznaczanych przez nie śląskich specyfików.

W szkicu tytułowym dowiadujemy się, że śląska babcia autora, Franciszka, kobieta niezwykle dobroci i łagodności, miała idiosynkrazję do „lajermaniństwa”. Autor zastanawia się, co mogła mieć na myśli i dochodzi do wniosku: „W oczach babci lajerman uosabiał [...] powolność, ospałość, lenistwo, niegrabność, ociężałość i tym podobne”. Nawarecki wspomina dalej, jak dobierając ilustracje do pisanego przezeń podręcznika romantyzmu natknął się na *Lirnika*, miedzioryt Andriollego (zdobi okładkę jego książki) i stwierdził przy tej okazji ze zdumieniem, że „lirnik” to po niemiecku *Leiermann*, a więc słowo znane mu z dzieciństwa. Babcia miała wprawdzie na myśli katarzyniarza (też *Leiermann*), ale zostaliśmy przy bardzie, grającym na lirze korbowej.

Czytając *Lajermana* przypomniałem sobie, że motyw ten pojawia się w liście Edwarda Stachury do Danuty Pawłowskiej. Poeta pisze 10 stycznia 1976 r.: „Na pierwszym znaczku Twojego pierwszego listu był gitarzysta czy lutnista, ale raczej na pewno gitarzysta grający lewą ręką, leworęczny, zauważyłaś”. I zaraz dodaje wielojęzyczne wyznanie: „Kocham Cię, I love you, Ja ljublj tebjja, Je t’aime, Te quiero, Te amo, Kocham Cię. Napisał gitarzysta-mańkut”. Wątek leworęcznego grajka na lirze był więc dla niego szczególnie ważny, autobiograficzny.

Edytor *Listów do Danuty Pawłowskiej* podaje sumiennie, jakim kolorem pisał Stachura i co było na znaczku. Tu jednak milczy. Tymczasem w dobie internetu ustalenie takiego faktu jest dziecinnie proste. Wystarczy wejść na stronę filatelistyka.org i posuwać się wstecz od roku 1976, by stwierdzić, że 28 września 1972 na Dzień Znaczka ukazała się seria z reprodukcjami obrazów polskich malarzy, wśród nich, za 4 złote, *Rapsod* Wyspiańskiego. Skądinąd wiadomo, że pastel Wyspiańskiego przedstawia aktora Andrzeja Mielewskiego (Gustawa/Konrada z *Dziadów* w inscenizacji Wyspiańskiego i Konrada z *Wyzwolenia*) w roli Rapsoda w *Bolestawie Śmiałym* i znajduje się... w zbiorach Muzeum Śląskiego w Katowicach.

Porównanie *Rapsoda z Lirnikiem* wykazuje, że Wyspiański musiał znać miedzioryt Andriollego, który Nawarecki tak opisuje: „Obraz przedstawia muzyka z rozwianym włosom i brodą, siedzącego na stosie kamieni i grającego na lirze korbowej [...]”. Nie znał go natomiast, jak się zdaje, Stachura, bo



łatwiej by mu przyszło identyfikować się z hipisowatym grajkiem Andriollego niż z siwowłosym starcem Wyspiańskiego.

Nawareckiemu lirnik z miedziorytu kojarzy się z zapamiętanym ze śląskiego dzieciństwa druciarzem-czarodziejem, który stawał pod klopsztangą (trzepakiem) i z wirującą osetką wypuszczał fajerwerk barwnych iskier.

Co to jest ryczka?

To niski stołeczek, który służył dziadkowi do polerowania butów i do ablucji metodą doktora Kneippa, babci do siedzenia przy obieraniu kartofli, a Olkowi – do najprzeróżniejszych czynności, których, lista brzmi jak miłosna litania: „Pomagała mi wstawać i chodzić, długo też pozostawała moim podstawowym kuchennym siedziskiem. Pewnie także była moją pierwszą większą zabawką, miniaturowym placem zabaw, garażem dla autek i skocznia narciarską, a zwłaszcza blatem do rysowania, gdyż dostęp do stołu jakoś zawsze był utrudniony”.

Dwa razy w roku, przed świętami, ryczka dostępowała zaszczytu wyniesienia na podwórko. Odbывało się to uroczystie, jak przystoi na czas przedświąteczny: „na podwórko ruszał rodzinny korowód, a w

nim – jak w kościelnej procesji – niesiony był tepich, kloper, szczotka, a także ryczka”. Bez niej małemu Olkowi trudno by było sięgnąć klopsztangi.

Austriacka herezja

Wśród przedmiotów, jakich – znając słowo – szuka Nawarecki, jest też śląska szolka. W jego domu piło się ze szklanek i filiżanek, używało się też garnuszków i kubków. Słowo „szolka” znał z podwórka i z ulicy, ze szkoły i od śląskich krewnych. Teraz, jak na filologa przystało uzbrojony w rozmaite słowniki, wyrusza na leksykograficzne poszukiwania. Według *Słownika gwary śląskiej* szolka to „szklanka, filiżanka” – bez różnicy, zatem bez sensu. Słowniki języka niemieckiego są pomocniejsze dla wyobrażenia sobie kształtu szolki, bowiem pierwsze znaczenie słowa *Schale* to „łuska, łupina, skorupa”. Drugie zaś to „czarka, miseczka, filiżanka, wanienska, szalka wagi”. W nowszych słownikach znaczenie „filiżanka” znika, chyba że w postaci zdrobniałej *Schölchen* – „miseczka, czareczka, filiżaneczka”. Wreszcie nasz autor, przy pomocy językoznawczyni Jolanty Tambor, specjalistki od gwary śląskiej, dochodzi do następującej informacji:

„*Schale* jest nazwą filiżanki kawowej, ale tylko w Austrii, czego niestety nie wyróżniają nasze ogólnoniemieckie słowniki”. I wdaje się w zgrabny wywód na temat kulturowej historii kawy, nie zapominając o roli, jaką w niej odegrał Polak Kulczycki, właściciel pierwszego wiedeńskiego kafenhausu. Z Wiednia zaś dociera na Śląsk i drogą dedukcji dochodzi do wniosku, iż „pod migotliwą nazwą szolki, podobnie jak w Austrii, musiała kryć się jakaś forma filiżanki, zapewne pozbawiona spodka [...]”.

Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie herezja o występowaniu słowa *Schale* w odniesieniu do filiżanki kawy „tylko w Austrii”. Równie uprawnione jest jego użycie w Szwajcarii, co mogę zaświadczyć własnym doświadczeniem. Dla żony zamawiam zawsze *eine Schale*, na co kelnerka reaguje przyniesieniem dużej, pięknej filiżany (rozmiaru sporego kubka), wypełnionej cieczą o barwie nazywanej przez malarzy „kawa-zmlekiem”. Sam wolę powściągliwe *ristretto* (tyle samo kawy co w *espresso*, ale o połowę mniej wody).

Białe kości

Nie mogę pominąć w tej śląskiej książce literackiego wątku szwajcarskiego. Pojawia się on przy okazji opowiadania Heinricha Kleista *Żebraczka z Locarno*. Nawarecki znalazł ten krótki tekst o starej kobiecie z przetrąconym krzyżem i o dziwnych hałasach w starym zamczysku w antologii opowieści „z dreszczykiem” zatytułowanej *Czarne pająk* (od noweli szwajcarskiego prozaika Jeremiasa Gotthelfa); streszcza go w kilkudziesięciu słowach. A streściwszy, relacjonuje komentarz szwajcarskiego filologa Emila Staigera, który miał osobliwy zwyczaj: „w trakcie czytania wierszy wystukiwał ich rytm ołówkiem”. Tak samo, przypuszcza Nawarecki, musiał postąpić przy czytaniu opowiadania Kleista, skoro dostrzegł w nim „nadmiar zdań podrzędnie złożonych, przeskoki czasu narracji i galopadę zdarzeń, co razem tworzy trudne do zniesienia napięcie”.

Nawarecki jest polonistą, więc bez trudu sypie serią rodzimych przykładów prób oswojenia grozy, której źródłem są nocne hałasy. Wymienia Konopnicką, Gombrowicza, Mrożkę i Redlińskiego. Ja bym do tej listy dodał *Edzia* Schulza, którego czytając słyszę za każdym razem postukiwanie szczudeł kaleki. Zdania są tam przełamane na pół, kalekie, podciągające się szybko, pozałamywane jak odnóża pająka. Wieczorami „jakieś drzwi otwierają się z hukiem, jakieś meble przewracają się z trzaskiem, potem rozlega się rozdzierający pisk Edzia”. Kto wie, czy opowiadanie Kleista nie było dla Schulza źródłem inspiracji? Zestawmy tylko dwa wyimki. U Kleista: „i dziś jeszcze leżą, pozbierane przez ziomków, białe jego kości w tym kącie pokoju, z którego kazał się wynieść żebraczce z Locarno”. U Schulza mrówki

„rozbierają, roznoszą na szczątki substancję rzeczy, objadają je aż do białych kości, do szkieletu i żeber fosforyzujących majaczkliwie na tym smutnym pobjojowisku”.

Chłopiec z węgielkiem

Aleksander Nawarecki ma dar łączenia w swym pisarstwie rzeczy, które innym nigdy by się może ze sobą nie skojarzyły. Znakomitym tego przykładem jest opowieść *Pożądanie wzgórz wiekiuistych*. Zaczyna się od oleodruku, który wisiał w sypialni rodziców, a przedstawiał Najświętsze Serce Jezusa. Serce namalowane było „jakby osobno” od Jezusa, „jakby przez innego malarza”. U jego wierzchołka „jaśniał ledwo kopący płomyk”. Komuś mógł się on kojarzyć „z ognikiem w karbidówce, który upodabniał górnika wychodzącego z szybu do nieziemskiej zjawy”. Nawareckiemu przypominał „rozżarzony węgiel, który każdego zimowego ranka z wielką ostrożnością, na szuflę, przenosiłem spod blachy kuchennego paleniska do pieca w pokoju – na rozpalkę”. (Tu przypomina się ulubiony motyw barokowych malarzy: nokturn, przedstawiający chłopca niosącego żarzący się węgiel). Dalej Nawarecki kreśli dzieje kultu Najświętszego Serca, od wizji Małgorzaty Marii Alacoque, kanonizowanej w roku 1920, poprzez rozmaite modlitwy okolicznościowe aż po litanię.

Rozpatrując litanie do Najświętszego Serca autor zwraca uwagę na werbet „Serce Jezusa, pożądanie wzgórz wiekiuistych, zmiłuj się nad nami!” i stwierdza, że znikł on z litanii w połowie lat 30. ub. wieku. „Czyżby za sprawą freudyzmu, który słowu «pożądanie» nadał jednoznacznie seksualną wydźwięk? A może dlatego, że to wers tajemniczy, trudny do zrozumienia, wręcz niepojęty?”.

Tajemniczość nie przeszkodziła Annie Kamińskiej użyć tego sformułowania w wierszu *Pierwsza miłość* i nauczać w *Notatniku*, że „pożądając wzgórz wiekiuistych trzeba zachować czułość dla piękna ziemskiego, troskę dla ludzkich trosk, pokorę wobec ludzkiego świata, w którym kazano nam żyć”. Aleksander Nawarecki jest tutaj pojętnym uczniem poetki – czułym na to, co się dzieje między słowem a światem.

Lajerman to książka z gatunku tych, które nie pozostawiają czytelnika obojętnym. Zadziwia i bawi, uczy i prowokuje do polemik, uzupełnień i gloss. Pokazuje podskórne związki między sztuką kulinarną a kształtowaniem krajobrazu – zarówno świąteczna moczka, jak i charakterystyczne dla śląskiego pejzażu hałdy opierają się na tej samej zasadzie zagospodarowywania resztek. Metoda, tu użyta do otwarcia sekretów Śląska, daje się użyć także do innych tematów, jest uniwersalna. Trzeba się tylko uważnie wsłuchiwać w słowa i przyglądać związanym z nimi rzeczom. □

Aleksander Nawarecki, *Lajerman*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2010 [właśc. 2011], s. 144.